DOM

i Szkoła Powszechna

Nr. 4

ROK I. KWIECIEŃ 1939

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ Nr 3:

TREŚĆ N-RU 4 MIES. „RODZINA I DZIECKO”.

NR 4. KWIECIEŃ ROK I.

Dom i Szkoła Powszechna

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

NAJWIĘKSZY SKARB.

Każdy człowiek — dorosły czy dziecko — ma w duszy bardzo głęboko ukrytą, wielką, ogromną tęsknotę za czymś bardzo pięknym, bardzo jasnym, bardzo dobrym, za czymś, co to nasze życie ludzkie pełne trudu, trosk i cierpienia upiększy, rozjaśni i ulepszy. I każdy człowiek, jak rozumie, jak potrafi, szuka, pracuje, walczy, żeby ten największy, tajemniczy Skarb odnaleźć i zdobyć.

Ale, że dążenie to tkwi w sercach bardzo głęboko, ludzie najczęściej nie śmieją nie tylko mówić o tym ze sobą, lecz nawet okazać sobie tego. Rozmawiają o wszystkim, jednak tej tęsknoty serdecznej nawet ojcu i matce dziecko nie zwierzy, a i rodzice z dziećmi sprawy tej nie poruszą. Dzieciom się wydaje, że to tylko pragnienie ich młodych duszyczek, obawiają się niezrozumienia, wyśmiania przez starszych; dorośli znów myślą, że otworzenie swoich wewnętrznych przeżyć przed dziećmi narazić ich może na utratę rodzicielskiej powagi. Niestety, i jedno i drugie czasami się zdarza, jeśli się nie dosyć rozsądnie i delikatnie do takiej rozmowy zabrać i dlatego należy bardzo uważać. O ile jednak bliżej, zgodniej, cieplej żyje się w tej rodzinie, gdzie wszyscy nie tylko wspólnie mieszkają, jedzą, mówią o tym, co się zdarzyło w szkole, w pracy, na ulicy, ale starają się też wspólnie przemyśliwać i przeżywać święte sprawy, które obchodzą ich duszę.

Są takie dnie w roku, kiedy ludziom łatwiej jest ku sobie podejść bliżej, serce swoje nieco otworzyć i do innych serc zajrzeć: te dni to święta. Ot, choćby to nadchodzące święto Wielkiejnocy. W każdym domu matka zaściele stół białym obrusem, postawi na środku Baranka z cukru i piękne pisanki, o jedzenie lepsze się postara; pójdzie się na Boże Groby, na Rezurekcję. Postarajmy się wykorzystać te dobre, ciche chwile, aby sobie wzajemnie dopomóc w przypomnieniu tych wielkich rzeczy, które to święto ma właśnie na celu nam szczególnie przypomnieć.

Pomyślmy tylko. Wszakże to właśnie przez Mękę Chrystusa i Jego Zmartwychwstanie, my utrudzeni, stroskani, cierpiący, my grzeszni ludzie otrzymaliśmy możność osiągnięcia owego wytęsknionego Skarbu. Bo cóż jest piękniejszego, jaśniejszego, lepszego nad życie według Bożych praw, nad duszę człowieczą, w której zamieszkuje Bóg.

Można tu przytoczyć słowa jednego z księży, zwrócone do dzieci przystępujących po raz pierwszy do Komunii św. i rodziców, którzy wraz z dziećmi przyjęli Ciało i Krew Pańską:

„W każdym z was przebywa teraz Bóg, gdy powrócicie z Nim do waszych domów, pamiętajcie o wielkim szacunku dla siebie wzajemnie”.

W czasie rezurekcji śpiewa się starą, polską pieśń, w której jest jedna strofka przepięknie mówiąca o największym Skarbie naszych dusz:

„Król Niebieski k'nam zawitał,
Jako śliczny kwiat zakwitał”.

Zofia Teresa Plisowska.

SZKOŁA I RODZICE.

Do najważniejszych obowiązków i prac szkolnych, w myśl intencyj najnowszych prądów w wychowaniu dziecka, jest przyciąganie domu do współpracy ze szkołą, współdziałanie rodziców z nauczycielstwem. że praca nauczycielska, choćby była najidealniejszą i najwzorowszą, nie osiągnie pożądanego celu bez wpółudziału z domem, z tego, jako pedagogowie i nauczyciele, w zupełności sobie zdajemy sprawę — a więc jako wychowawcy i nauczyciele wzywamy całe społeczeństwo do współpracy.

żyjemy w okresie wielkich zmian i przewrotów w sprawie szkolnictwa a specjalnie szkolnictwo polskie, wyrwane z pod wpływów obcych duchem (zaborców), przeżywa okres zasadniczego przeobrażania się. Wychodząc z założenia: „Jaka szkoła, taki obywatel — a jaki obywatel, takie społeczeństwo”, powstają w naszym szkolnictwie, tak w powszechnym jak i w średnim, coraz to nowe projekty reform, które mają tych przyszłych obywateli wychowywać, uczyć, kształcić i uczynić z nich zdrowych, porządnych i pożytecznych członków społeczeństwa.

Jedną z naczelnych zasad współczesnego wychowania jest zasada jednolitości frontu wychowawczego, z czego wynika, że koniecznością jest harmonijne współdziałanie czynnika rodzicielskiego i nauczycielskiego, czyli obydwu czynników razem powołanych do urabiania charakterów i kształcenia umysłów młodego pokolenia.

Rodzice — niestety — nie są w większej części do tej tak ważnej i poważnej misji przygotowani i dlatego też „dokształcenie pedagogiczne rodziców” jest obecnie nakazem chwili. Stwierdza się, że bardzo często dom i szkoła tworzą dwa zwalczające się obozy, hołdujące wprost przeciwnym zapatrywaniom pod względem wychowawczym, a te rozbieżności: jak potępienie i krytyka zarządzeń władz szkolnych, podrywanie autorytetu nauczyciela, działają zabójczo na młodzież, którą chcemy wychować i wyprowadzić na porządnych i pożytecznych obywateli i członków społeczeństwa.

Rodzice muszą zrozumieć i zdać sobie sprawę z tego, że powinni iść w zgodzie i harmonii z nauczycielem - wychowawcą ich dzieci, że powinni starać się doceniać ciężką i doniosłą pracę obywatelską nauczyciela i że ich obowiązkiem jest wszelkimi siłami dopomóc zakładom wychowawczym ich dzieci, gdyż obojętność i lekceważenie tych świętych obowiązków wyrządzają ich dziecku nieobliczalne krzywdy, a całemu społeczeństwu niepowetowane straty.

Nauczyciel, mając pod swoim wpływem wychowanka przez kilka godzin dziennie, nie jest w stanie dokonać takiego dzieła, jakiego od niego dziś żąda społeczeństwo i Państwo.

Dom i szkoła, rodzice i nauczycielstwo razem pracować powinni nad ukształtowaniem się stanu przyszłego społeczeństwa. Dziś szkoła wymaga od rodziców swoich uczniów, by w dziele wychowania i nauczania nie byli obojętni i nie stali zdala od szkoły, — szkoła współczesna uważa, że ani szkoła sama, ani dom wzgl. rodzice sami, ani nawet wysiłki domu i szkoły razem wzięte nie zrobią nic, jeżeli nie będzie w działaniu między nimi harmonii, zgody i porozumienia.

Jakżeż pouczać i uświadamiać rodziców naszych dzieci, by stali się tak dla szkoły jak i dla społeczeństwa pożyteczni? Niestety, dotychczas albo nic, albo bardzo mało w tym kierunku zrobiono. Są wprawdzie przy wielu szkołach, zarówno powszechnych jak i średnich t.zw. „Opieki szkolne" lub „Koła Opieki Rodzicielskiej", ale te mają za zadanie wyłącznie niesienie pomocy materialnej dzieciom oraz urządzanie imprez rozrywkowych dla dzieci i młodzieży. Ale nam idzie o co innego. Idzie nam o przeszkolenie rodziców, by razem ze szkołą kształtować „nowego obywatela", zdolnego do wydajnej i ofiarnej pracy dla społeczeństwa i Państwa.

Odczyty i prelekcje dla rodziców są obecnie potrzebne, przeszkolenie ojców i matek młodzieży szkolnej jest nakazem chwili — pomyśleć o tym należy już teraz, bo stosunki i nasze warunki życiowe wymagają wychowania, nauczania i przygotowania do życia *„nowego człowieka" w „nowym społeczeństwie"*.

Rodzice, bardzo często z powodu swoich zajęć zawodowych, nie są w stanie, nie mogą i nie mają czasu, ani możności poświęcać się wychowaniu swego dziecka, ale z tego nie wynika, że w sprawie wychowania nie mają nic do powiedzenia, ani do działania. Tu właśnie każda chwila wolna winna być oddana dziecku przez współpracę ze szkołą w dziele wychowania. Duch rodziców winien być w szkole, duch nauczycielstwa w domu; *rodzice i nauczyciele, dom i szkoła stanowić winni jedną rodzinę.*

Gedo Hecht.

ZAUFANIE, CZY ŚCISŁA KONTROLA?

Artykuł dyskusyjny.

Franek już od kilku tygodni chodzi do czytelni dziecięcej. Całymi godzinami przesiaduje nad książką. Podparł skronie rękami, zdaje się że o całym świecie zapomniał, nie przeszkadza mu trzask ciągle otwieranych i zamykanych drzwi, ani sąsiadka - dziewięcioletnia dziewczynka, która nie może spokojnie usiedzieć na swoim miejscu, co chwila podchodzi do półki, przerzuca coraz to inną książkę. Franek czyta.

Ale dziś Franek jest wyjątkowo niespokojny. Bez zwykłego skupienia przerzuca kartki książki, kręci się po sali, wstaje, znowu siada, w końcu po długim namyśle podchodzi do bibliotekarki.

— Proszę pani — mówi nieśmiało, niech mi pani da zaświadczenie, że ja co dzień chodzę do czytelni.

— Zaświadczenie, a po co ci zaświadczenie? — pyta zdziwiona bibliotekarka.

— Bo tatuś mówi, że ja wcale nie chodzę do czytelni, tylko latam z łobuzami — odpowiada czerwieniąc się Franek.

Bibliotekarka wystawia zaświadczenie, chłopak jeszcze kilka dni przychodzi regularnie do czytelni, później przychodzi już tylko raz, dwa razy na tydzień, wreszcie znika zupełnie.

Dlaczego? Może posiadając takie zaświadczenie uważa, że teraz już może spokojnie „latać z łobuzami", a może wstydzi się bibliotekarki, której musiał powiedzieć, że ojciec mu nie wierzy, że posądza go o kłamstwo, może upokorzenie, którego doznał prosząc bibliotekarkę o zaświadczenie zniechęciło go do czytelni. W każdym razie, chłopak, który przedtem był jednym z lepszych czytelników, po otrzymaniu zaświadczenia przestał przychodzić do czytelni. Ścisła kontrola ojca, brak zaufania do syna, sprawdzanie w sposób dotkliwy i upokarzający jego prawdomówności miało wręcz odwrotny skutek od tego, jakiego zapewne spodziewał się ojciec.

Niestety, spotykamy dość często zwolenników tego rodzaju „ścisłej kontroli" postępowania dziecka zarówno wśród rodziców jak i nauczycieli.

Nie tak dawno, będąc na jednym z zebrań rodzicielskich, słyszałam, jak kierownik zalecał rodzicom kontrolowanie „każdego kroku dziecka". „Musimy wiedzieć o każdym kroku dziecka, widzieć, czy za naszymi plecami nie robi ono czegoś złego" — twierdził ów wychowawca. Dlatego rodzice powinni dowiadywać się o zachowanie dziecka w szkole, i donosić o zachowaniu poza domem kolegów naszego syna, czy córki w razie, gdyby zachowywali się niestosownie. „Dziecko musi wiedzieć, że jest pod naszą ścisłą kontrolą, że żaden karygodny czyn nie ujdzie mu bezkarnie, wtedy tylko będzie zachowywać się odpowiednio" — twierdził kierownik.

Jako konkretny projekt kierownik ów wysuwał propozycję wprowadzenia osobnych dzienniczków dla bardziej krnąbrnych dzieci. W dzienniczkach tych, na żądanie rodziców, nauczyciel wspisywałby co dzień godzinę

ukończenia lekcji, w ten sposób rodzice zawsze mogliby sprawdzić, czy ich dziecko „włóczy się” gdzieś po wyjściu ze szkoły.

Zastanówmy się chwilę, jak bardzo źle musi się czuć dziecko niosące do domu dzienniczek sprawowania, tak usilnie zalecany przez kierownika. Dziecko napiętnowane, traktowane prawie jak złoczyńca, dziecko, któremu się nie ufa, nie wierzy. Oto zobaczyło coś ciekawego na drodze, gromadka chłopców tłoczy się koło wystawy sklepowej, za którą jeździ mała elektryczna kolejka. Nie, jemu nie wolno się zatrzymać. W dzienniczku zanotowano godzinę wyjścia ze szkoły, a matka, która nie wierzy słowom dziecka, że naprawdę o godzinie pierwszej, czy drugiej wyszło ze szkoły, czyż uwierzy, że w ciągu tych dziesięciu, dwudziestu minut stało spokojnie przed wystawą sklepową, a nie dopuszczało się jakichś „zabronionych” czynów.

Praktyka wychowawcza, a nawet i pobieżna obserwacja dzieci wykazuje, że właśnie te najbardziej dozorowane i kontrolowane dzieci, najczęściej szukają wykrętów, używają jak najbardziej zawiłych fortelów, by tylko obejść zbyt surowy zakaz. Nic w tym dziwnego. Dziecko nie boi się zawieść zaufania matki, którego przecie i tak nie posiada, i czuje się najzupełniej w porządku, gdy uda mu się skutecznie okłamać rodziców. Mała główka niejednokrotnie bardzo usilnie pracuje, by ułożyć dostatecznie wiarygodną historyjkę i wytłumaczyć nią swoją nieobecność w domu itp. Brak wiary w dziecko, zaufania, poniża je w jego własnych oczach i dziecko, które uważa się za złe i nie ma nadziei wykazania się, że jest lepsze, w rzeczywistości czuje się w wielu wypadkach z góry rozgrzeszone ze swych przewinień. Po co mówić prawdę, kiedy i tak i tak nie wierzą, czy warto?

W przeciwieństwie do tego, często najmniejsze zaufanie, którym obdarzamy dziecko, podnosi jego poczucie własnej wartości i przyczynia się do podjęcia prób pracy nad sobą. Dziecko czuje się związane okazywanym przez nas zaufaniem i boi się je utracić. Przypominam sobie chłopca, ucznia IV klasy szkoły powszechnej, mającego na sumieniu kilka drobnych kradzieży. Zaufanie, którym obdarzyła go wychowawczyni polecając mu przynieść swoją torebkę z pieniędzmi z kancelarii, stało się przełomowym momentem w jego późniejszym zachowaniu i stosunku do szkoły. Wątpię, czy wpłynęłaby na niego w ten sposób najbardziej surowa kontrola, najbardziej ostre piętnowanie chłopca, jako złodzieja.

Stawiam więc pytanie: Czy konieczną jest ścisła kontrola postępowania dziecka? Jeżeli tak, to w jakiej powinniśmy ją stosować formie? Czy można, czy należy zawsze bezgranicznie ufać dziecku? Co zrobić, gdy zawiedzie nasze zaufanie?

Poruszyłam celowo tylko jedną stronę zagadnienia, sprawę postawiłam może zbyt krańcowo. Przypuszczam, że jednak to ułatwi nam wymianę zdań na powyższy temat. A przecież tylko w ten sposób będziemy mogli sobie wyjaśnić wiele bolączek i dojść do pewnych wspólnych wniosków.

Zofia Charszewska.

DLACZEGO KRZYŚ NIE CHCE ODRABIAĆ LEKCJI.

Krzysia znałam od kilku lat. Byłam zaprzyjaźniona z jego matką, i ilekroć do nich przyszłam, zawsze z dużą przyjemnością obserwowałam chłopca. Byłam zachwycona jego inteligencją, doskonałą pamięcią, wybitnymi uzdolnieniami. Kiedy mówiłam o tym matce, promieniała. Wówczas, aby uzupełnić swój pogląd o Krzysiu, dodawałam: ale uważam, że jest zanadto rozpieszczony. Postępujecie zanadto zgodnie z jego zachciankami.

— To się niedługo skończy — zapewniała mnie kiedyś — tak jak się skończyło z Andrzejem. Na przyszły rok pójdzie do szkoły. Tymczasem uczymy się w domu.

Rozmawiałyśmy więc o tej nauce. Okazało się, że zwłaszcza, jeśli idzie o czytanie, matka napotyka u chłopca na duży opór. Wykręca się. Dla zachęty zaprenumerowała mu pisemko dla dzieci, ale to nie pomaga. Lubi natomiast bardzo, kiedy mu ona sama czyta.

Jak sobie wreszcie matka poradziła, nie wiem, dość że z początkiem roku szkolnego został zapisany do szkoły. Przyjęto go od razu do drugiej klasy, choć miał dopiero 7 lat. Nie zdziwiłam się temu zbytnio, wiedziałam przecież, że jest bardzo zdolny i nad wiek rozwinięty.

W szkole od razu podbił serce wychowawczyni i zaprzyjaźnił się z kolegami. Do pracy zabierał się bardzo chętnie. W domu jednak w stosunku do zadanych lekcji przejawiał opieszałość. Zapominał o nich naprawdę, czy nie chciał pamiętać... Matka musiała go zawsze przypilnować osobiście, aby odrobił.

Opowiadała mi kiedyś później, że gdy mu tak przypominała, prosił, aby mógł odrobić tę lekcję następnego dnia, albo za dwa dni. Nie chodziło bynajmniej o przekomarzanie się. Prosił najzupełniej serio. „Taki był z niego głuptasek", jak mówiła, nie wiedział, że lekcje trzeba odrabiać codziennie.

Mimo to, wszystko szło dosyć dobrze, bo Krzyś został promowany do trzeciej klasy, potem do czwartej. Aż pewnego razu przychodzi do mnie matka Krzysia po radę. Jest zmartwiona. Krzyś nie chce odrabiać lekcji. Matka musi z nim staczać walkę, aby siadł wreszcie przy stoliku i wziął się do pisania. Jeżeli lekcje odrobi, to tak niedbale, że ona wstydzi się go posłać do szkoły. Jest przecież opiekunką klasową, wszyscy ją znają. Pomyślą, że jej syn nie ma należytej opieki w domu.

Przyznam się, że mnie jednak to „lenistwo" Krzysia zaskoczyło. Wiedziałam, że chłopak jest ambitny, spytałam więc matkę, czy próbowała się do jego ambicji odwoływać. — Owszem, próbowałam, ale bezskutecznie. Nie ma do niego drogi. Z dwójek nic sobie nie robi. Nie przez lekceważenie, ale tak jakoś nie może zrozumieć, co to jest zła ocena. —

Spróbowałam się więc jeszcze dowiedzieć, czy chłopiec nie ma jakich trudności w nauce, czy lubi swoich nauczycieli, czy nie żywi do nich o co żalu, czy przez nich jest lubiany.

Lubił nauczycieli i był przez nich lubiany. Niejakie trudności miał w rachunkach, ale matka nie zauważyła, aby szczególnie rachunków nie lubił.

Wszystkich lekcji nie chce odrabiać.

Mimo tych informacji na razie nic matce nie mogłam poradzić. Przyrzekłam, że jeszcze pomyślę nad tą sprawą i przyjdę w najbliższą niedzielę porozmawiać.

I w tę właśnie niedzielę, przypadek sprawił, że sprawa nabrała dla mnie jasności.

U rodziców Krzysia byli goście. Jeszcze wtedy, kiedy byli, zauważyłam, że matka i syn porozumiewali się z sobą po cichu. Matka chciała chłopca o czymś przekonać. Chłopak robił grymasy i na tym się kończyło. W pewnej chwili objaśniła mnie szeptem, że Krzyś odrobił polskie ćwiczenie bardzo niestarannie i że ona każe mu je napisać powtórnie. On nie chce.

Widać wreszcie udało się jej przekonać go, gdyż widziałam, jak po chwili wyszedł z pokoju. Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo.

Zostałam dłużej niż inni. Razem z matką sprawdziłyśmy ćwiczenie Krzysia. I tym razem było napisane okropnie. Wówczas matka zażądała, aby napisał po raz trzeci, przy niej. Chłopak się zadąsał, zaciął, nie chciał. Starałam się przekonać matkę na uboczu, że najlepiej tym razem dać chłopcu spokój. Jest późna godzina, chłopak wydaje się zmęczony i śpiący. Posłuchała mnie. Krzyś umył się i już miał się położyć do łóżka, gdy ojciec, zainteresowany najwidoczniej szeptem, zażądał, aby mu syn pokazał zeszyty. Kiedy zobaczył nieszczęsne ćwiczenie, rozgniewał się. Nie biorąc pod uwagę późnej pory, kazał chłopakowi siąść natychmiast przy stole i pisać. Pisać tyle razy, aż zostanie napisane bez zarzutu.

Krzyś bez słowa spełnił nakaz ojca. Ale matka próbowała się przeciwstawić. To spowodowało między rodzicami sprzeczkę. Ojciec miał do matki pretensję, że nie dopilnowała syna, że ukrywa przed nim niedbalstwo i nieposłuszeństwo Krzysia.

Byłam świadkiem tej nieprzyjemnej sceny. Ale właśnie ta scena wyjaśniła mi wiele. Reszty dopowiedziała matka w późniejszej rozmowie.

Aby jednak naprawdę zrozumieć zachowanie się Krzysia, trzeba sięgnąć daleko wstecz. Aż do dzieciństwa rodziców. D. c. n.

Zofia Derwiszówna.

WIOSNA.

Któż z nas nie zna tych trudnych, ospałych godzin lekcyjnych na wiosnę, kiedy z wysiłkiem wzbudzana w sobie energia nauczyciela napotyka ze strony uczniów obojętność graniczącą z sennością, jakąś dziwną tępotę w pojmowaniu najprostszych rzeczy i bezwład. Taka lekcja może doprowadzić do utraty cierpliwości nawet najbardziej opanowanego nauczyciela. Duszno w klasie, dzieciaki jakieś niekarne, jedne ospałe, nieruchawe, inne niesfornie kręcą się, szepcą, jakieś podniecone, niezdolne do skupie-

nia. Wyglądają przez okno, wciągają w rozdęte nozdrza nieuchwytny zapach wiosny, to znów patrzą na niebo, słuchają ptaków, wszystko — tylko nie lekcja, tylko nie uwaga, nie praca. Nauczyciel tłumaczy, powtarza, stara się jeszcze bardziej ułatwić, poddać — na nic wszystko. Klasa staje się jakimś murem, od którego odbijają się wszystkie słowa, przysłowiowo „jak groch o ścianę". Wysiłek nauczyciela nie może przełamać bierności klasy, nie może skierować jej uwagi na wykładany przedmiot.

Oto mały Staś, zwykle taki uważny i pilny, leniwie przygląda się oknu, zupełnie nie zwracając uwagi, że jest lekcja. Zaciekawiony nauczyciel podchodzi bliżej i widzi jak na parapecie wolno, ociężale przechadza się mucha, widać zaledwie zbudzona ze snu zimowego, rozprostowuje się, trzepie skrzydełkami, bzyka, jakby przeciąga się w pierwszych promieniach ciepła i słońca. Nauczyciel patrzy na tę samą muchę co Staś, patrzy i zwolna czuje, że i on nabiera w siebie te ciepłe promienie, i on z przyjemnością chwyta w nozdrza rześki zapach ziemi płynący przez uchylone okno, i on czuje się dziwnie nieuważny i roztargniony patrząc na pełne, soczyste pąki kasztanów, i nagle rozumie i odczuwa tę ospałą niechęć klasy do wysiłku umysłowego. Darowuje im niedorzeczne odpowiedzi i gapiowatość tych pierwszych dni wiosny. Rozumie, że to nie ich wina, że jak w drzewie po długiej zimie na wiosnę soki zaczynają krążyć żywiej i pełniej, tak i w młodych organizmach dzieci zaczyna się żywsza praca, bardziej wyczerpująca energię całego ustroju dla swoich potrzeb i przemian, tak, że na pracę umysłową mniej tej energii zostaje.

Dziecko jest zmęczone, ociężałe, często jeszcze nieodpowiednio ubrane, poci się, męczy przy ruchu, przy każdym wysiłku. Stąd ta bierność i ospałość dla codziennych obowiązków w szkole i w domu, a ochota do leniuchowania i pęd do świeżego powietrza, swobodnego włóczenia się po rozmiękłej ziemi i stąd mnóstwo nieporozumień w szkole z nauczycielem i w domu z rodzicami.

Dziecko na wsi lub w małym miasteczku jest o wiele szczęśliwsze w tych pierwszych dniach wiosny, niż dzieci dużych miast. Ma gdzie się powłóczyć, powdychać słońce i młodziutką zieleń, wraca zziajane, ubłocone, z rękami umorusanymi ziemią, lepkimi od młodych pąków i kory drzew, ale szczęśliwe. Dziecko miejskie wita wiosnę o wiele smutniej. Przez okno zamiast rozkwitającej zieleni wpada do klasy kurz i hałas miasta z jego trzepaniem pościeli, nawoływaniem handlarzy, tempem dużych ulic, gwarem życia wielkomiejskiego. Dokąd ma uciec spragnione przestrzeni, głodne widoku zieleni i zapachu poruszonej na wiosnę ziemi, gdy jedynym przedstawicielem budzącej się natury jest stara akacja na podwórku, irysy hodowane troskliwie w cudzym ogrodzie i... schrypnięty głos przekupnia sprzedającego na ulicy rzodkiewki.

Rodzice często nie chcą, może nie umieją zrozumieć niechęci do wysiłku, a ochoty do włóczęgi i „gapienia się" u dzieci na wiosnę. Szkoła

częściej to rozumie, dlatego w miarę możności prowadzi dzieci na lekcje przyrody na łąki, do lasu, bądź do parków lub ogrodów, ale rodzicom trudniej znaleźć czas na zrozumienie istoty zmian zachodzących w dziecku, a że sami są podobnie zmęczeni i nieprzystosowani jeszcze do wiosny, stąd łatwo o zdenerwowanie i przykrą scenę. Gdyby wszyscy mieli czas zobaczyć tak jak Staś, taką budzącą się na wiosnę muchę, może patrząc na nią najłatwiej zrozumieliby, że potrzeba trochę czasu i pobłażliwości na jej pierwsze próbne kroki po drzemce, przeciągnięcie się i otrzeźwienie, aby mogła pofrunąć i zacząć żyć już normalnie m i m o wiosny.

E. Lidke.

W JAKICH WARUNKACH ZNAJDUJE SIĘ WIEJSKIE DZIECKO?

Po zapoznaniu się z miesięcznikiem „Dom i szkoła powszechna" postanowiliśmy napisać w sprawie dzieci wiejskich. W nielicznych tylko wypadkach zachowana jest higiena. Rodzice nie zawsze przestrzegają mycia się dzieci, sami dają zły przykład i nie dbają o czystość ciała.

Może podtrzymują dawne przysłowie „Kto się często zmywa, tego ubywa". Dziecko nie widząc dobrego przykładu zaniedbuje się w higienie. Stąd wynikają trudności dla nauczycieli i wychowawców. Należy także zaznaczyć, że dzieci się źle wysypiają. Brak jest łóżeczek i osobnych pościeli, a przecież w większości wypadków można się o to postarać.

Rzadko też się zdarza przewietrzanie mieszkań, zwłaszcza w porę zimową, to jest zabójstwem dla organizmu ludzkiego. „Nie otwieraj okien, bo cię wiatr trąci" — brzmi stare przysłowie. Marnie przedstawia się też odżywianie dzieci, które często bez śniadań idą daleko do szkoły. Potrawy nasze są bardzo dobre i zdrowe, tylko trzeba umiejętnie przyrządzić i regularnie spożywać. Dziecko winno jeść więcej nabiału, owoców, jaj i jarzyn.

Daleka nieraz podróż do szkoły dzieci męczy i wyczerpuje. Wobec tego należałoby zorganizować dowożenie dzieci.

Więcej jeszcze męczy dziecko to, że rzadko istnieje współpraca rodziców z nauczycielami. Winę tu ponoszą obie strony, które się powinny częściej porozumiewać. Wtedy nie byłoby tego, że w szkole co innego, a w domu co innego.

Na zakończenie dodajmy, że dzieci nasze są przeciążane sprawami gospodarczymi. Wskutek tego nie mają czasu na odrabianie lekcji i na wypoczynek.

My, młodzież wiejska, winniśmy podnieść walkę o podniesienie higieny i stworzenie lepszych warunków dla dzieci. Musimy się więcej porozumiewać z rodzicami i sami dawać dobry przykład najmłodszym.

Uczestnicy kursu bibliotekarskiego.
w Lublinie pow. Lubelskiego.

Roboty kobiece w szkole powszechnej.

Korzystając z okazji możności zabrania głosu w dyskusji „Domu i Szkoły Powszechnej", chciałabym zwierzyć się z niektórych myśli o nauczaniu szycia w szkole. Każda matka, obarczona liczniejszą rodziną, ma tego szycia, a zwłaszcza reperacji i cerowania za wiele.

Dlatego z ulgą wita pierwszą pomoc, jaką mogą okazać jej dorastające córki, a choćby i synowie. Nie jest to tylko chęć uzyskania wyręki: musimy przecież przyzwyczaić dzieci do samodzielnego radzenia sobie i nie przyjmowania usług osobistych, skoro się jest w tym wieku, że można i powinno się samemu sobie usłużyć.

Nie jest to często przyjemną robota, tym bardziej gdy ciekawa książka wabi do czytania i dlatego potrzeba wiele energii i pomysłowości matki, żeby mogła trafić do ambicji, dobrego serca i obowiązkowości dziecka. Nauczycielka robót mogłaby tutaj pomóc bardzo wiele. A jednak tak się trafia, że roboty w szkole są traktowane jakoś teoretycznie, nie życiowo, tylko programowo. Np. mają być koszule uszyte i są uszyte. Ile jednak uczennice nauczą się przy tym? Na lekcjach często czyta nauczycielka głośno, uczennice radzą sobie wzajemnie, gdy która czego nie umie.

Po uszyciu i wykończeniu jakiejś sztuki w domu, stawia pani stopnie.

Czasami matka musi stoczyć wojnę z córką, która prosi o pomoc w wykończeniu roboty, bo za najlepsze sztuki będą najlepsze stopnie. Trudno wytłumaczyć, że powinna te rzeczy sama robić: „dlaczego ja mam mieć gorszy stopień, kiedy inne koleżanki też same nie szyją w domu, pomagają im matki, a nawet krawcowe".

Pilna obserwacja szyjących uczennic w czasie lekcji, dawanie wskazówek z jednoczesnym sprawdzaniem, jak to jest wykorzystane — dałyby prawdziwy obraz tego, czego uczennice nauczyły się.

Słyszałam o kunkursach szycia na temat: kto lepiej i prędzej obrębi, zaceruje.

Czy to nie byłoby podnietą dla uczennic do zajęcia się sprawami szycia?

Albo stworzenie jakiegoś klubu dla dziewczynek, które potrafią już same obejść się bez pomocy np. przy cerowaniu pończoch.

Lekcje nie powinny przeszkadzać w tej robocie, bo nie trzeba wiele czasu, gdy się osiągnie pewną wprawę.

Sprawa nie jest tak błaha, jakby się na pozór zdawało. W myśl przysłowia „czym skorupka za młodu nasiąknie"... może niejedna z dziewcząt w ten sposób chowanych potrafi jako dorosła, ułatwić sobie życie: zamiast tracić czas, zdrowie, nerwy na pracę zarobkową w biurze, pozostawiając dom i dzieci na opiece płatnej sługi — może potrafi umiejętnym cerowaniem, przerabianiem ubrania, bielizny, jak również sporządzaniem nowych łatwych sztuk, zarobić tę sumę, którą otrzymałaby za pracę poza domem. Nie podobna zaś obliczyć w pieniądzach tych korzyści, które mają dzieci z towarzystwa matki i jej dobrego humoru.

W najbiedniejszych rodzinach wiele matek potrafi dużo zarobić, szyjąc dla siebie i dzieci; choć zdarzają się i takie, które po prostu marnują ubranie i wydają wiele ostatnich, a nawet pożyczonych złotówek na krawcowe.

Ładna sukienka dziecinna przynosi matce podwójną radość, jeżeli to jest własna praca, ale do tego trzeba zamiłowania i ochoty... Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. Co mogłaby szkoła zrobić w tej sprawie?

G. R.

Szkoła powszechna w salonach.

W salonach? No, naturalnie, jakaś luksusowa prywatna szkoła powszechna? Otóż, właśnie, że nie. Jest to p u b l i c z n a szkoła powszechna Nr. 123, przy ul. Solec 22, na ubogim warszawskim Powiślu.

Skąd te wspaniałości? Jakaś hojna fundacja, jakiś dar bogatej jednostki? Broń Boże, wszystko to powstało z groszy, z drobnych składek rodziców tej szkoły, i to w ciągu niespełna czterech lat.

Bo jak to jest z taką publiczną szkołą? Miasto daje budynek i trochę sprzętu, Państwo daje personel nauczycielski. Uposażenie szkoły, pomoce, biblioteki, to wszystko tworzy się z funduszów społecznych, a więc przede wszystkim ze składek rodzicielskich.

Składkę na pomoce opłaca się wszędzie. W tej szkole wynosi ona 6 zł. Prócz tego istnieje i działa Opieka Rodzicielska, na którą każdy z rodziców, kto może, wpłaca 10 zł. rocznie, tj. 1 zł. na miesiąc, w ciągu roku szkolnego. Kto nie może, nie płaci, przymusu nie ma. Rodzice jednak, nawet tacy, którym jest bardzo ciężko, wpłacają chętnie swoje składki, bo widzą, co za nie powstaje, bo dumni są ze szkoły i radzi, że dziecko w niej się dobrze czuje.

Nieraz kierownik pyta matki, przynoszącej swe grosze, czy naprawdę może zapłacić, czy jej nie za trudno, ale właśnie dlatego, że nie ma przymusu, jest ze strony rodziców wzmożona dobra wola. I jeszcze jedno. Składek nie zbiera nauczyciel, nie upomina się o nie, żeby to nie zatruwało jego stosunku z dziećmi. Wszystkie te rzeczy załatwia Opieka Rodzicielska i kancelaria.

Tyle mówimy o tych finansowych sprawach, bo one są bolączką każdej szkoły, a oto widzimy tutaj, że i z tą bolączką jakoś sobie można poradzić, i że dobra wola gromady cuda może zdziałać.

A teraz trzeba coś opowiedzieć o tych cudach. Kiedy się wchodzi do olbrzymich sal rekreacyjnych, ciągnących się wzdłuż budynku szkolnego, od razu widza ogarnia podziw. Stoły, stoliki z przeróżnymi grami, bilardy pokojowe, domina, halmy [1]), siatkówki stołowe itp. Dużo kwiatów i zieleni. Obrazki, tablica z wystawą najlepszych prac rysunkowych. W tym miesiącu same motywy wojskowe, bitwy, konnica, czołgi, samoloty, niektóre śmiało i z dużym zacięciem rysowane.

Ale to dopiero wstęp. Zdumienie ogarnia widza, kiedy zajrzy do klasy. Oto klasa siódma, w której po południu jest świetlica i czytelnia młodzieży. Toż to salon prawdziwy! Okrągłe stoły z jasnego drzewa, przy każdym pięć krzesełek, kwiaty na oknach, śliczne półki z książkami wzdłuż ścian. Wszystko lśni od czystości. „W tym roku nic nie było remontowane", mówi pan kierownik. A przecież tu dzieci siedzą i rano i po południu, i to te przysłowiowe w Warszawie „andrusy z Powiśla".

I te dzieci umieją ten piękny sprzęt uszanować! To je podnosi na duchu, to samo już przez się stanowi zaproszenie do odpowiedniego zachowania się, a i praca idzie tu inaczej, bo każda piątka przy stoliku, to zorganizowana grupa, współpracująca przy nauce, grupa mająca swego przywódcę z wyboru.

Wszystkie klasy są podobnie urządzone. Uwagę zwraca w nich jeszcze tablica, też osobliwość tej szkoły, tablica z linoleum, ciągnąca się wzdłuż całej ściany. Dzieci malują na niej całe obrazy kolorowymi kredkami. Przy lekcji rachunków widzą na niej przebieg całego zadania, od początku do końca, bo ścierać nic nie trzeba.

Oprócz tych ślicznych klas jest i specjalna sala przyrodniczo gegoraficzna, z epidiaskopem, z imponującymi zbiorami obrazków do wyświetlania do wszy-

---

[1]) Gra podobna do warcabów.

stkich przedmiotów szkolnych, więc nie tylko geografii i przyrody, ale historii, i nawet religii.

Jest i sala do nauki robót ręcznych z warsztatami stolarskimi, maszynami do szycia i do pisania itp. Miejsca tu nie starczy, żeby opisać wszystkie te cuda, tym cenniejsze, że właśnie powstałe ze składek rodzicielskich.

Opieka Rodzicielska jest tu zorganizowana tak, że każda klasa ma po dwoje opiekunów, którzy dbają o potrzeby dzieci tej klasy, o ich zajęcia pozaszkolne, rozrywki, dożywianie itp.

Rodzice mają przy szkole bibliotekę z czytelnią pism. Korzysta z niej 200 osób. Jest i klub matek, jest szwalnia, gdzie szyje się ubrania dla porzebujących i gdzie każda z matek może uszyć to, co jej trzeba dla siebie i swoich.

Jak powstały te wszystkie piękne urządzenia? Stopniowo, od małego. Najpierw stworzona została ze składek rodzicielskich siódma klasa, będąca zarazem klubem i czytelnią młodzieży. Potem sala przyrodniczo - geograficzna. Potem stopniowo, wszystkie klasy. Zwykłe, szablonowe urządzenia klas zastępowano nowymi, pozwalającymi na pracę grupową pod kierunkiem.

Bo ta piękna forma, to nie efekt tylko, to wyraz treści wewnętrznej. W tej szkole dzieci pracują inaczej. Jak pracują i jak się bawią, o tym opowiemy innym razem.

Teraz jeszcze dodamy tylko, że ostanią zdobyczą tego roku jest scena szkolna rozbierana, pozwalająca na urządzanie pięknych imprez i widowisk, w których dzieci są aktorami, a widzami rodzice.

Do zdobyczy bieżącego roku szkolnego należą też głośniki radiowe, umieszczone w każdej klasie, a pozwalające dzieciom na słuchanie pogadanek i koncertów Polskiego Radia.

Oto znów przykład, jak wiele dokonać może rozumnie pokierowana współpraca, jaką potęgą jest ta szlachetna iskra, drzemiąca w sercach ludzkich, potrzeba piękna, harmonii, dążenia do dobra wspólnego. Trzeba ją tylko umieć obudzić, jak mówi kierownik tej szkoły, a gromada, której przyświeca piękny cel, może dokonać rzeczy prawdziwie wielkich. *B. J.*

Gimnastyka dla matek.

Pisaliśmy niedawno o świetlicach dla rodziców przy jednej z warszawskich szkół powszechnych, przy ul. Zagórnej Nr. 9.

Otóż właśnie w tych dniach powiedziano mi, że w niedzielę z rana odbywa się na sali gimnastycznej tej szkoły gimnastyka dla matek.

Nie może być? Dla matek obarczonych dziećmi, domem, zaharowanych, umęczonych? Że też zechciały, że dały się namówić!

Nie odrazu się to zrobiło. Z początku się dziwiły i nawet oburzały. Skąd mnie gimnastyka? I tak dość się nauwijam i nadrepczę przez cały dzień!

Ale zaczęło się jakoś inaczej, od przysposobienia wojskowego, od obozów P. W. K. Kilka matek było na takim obozie. Te już wiedzą, co to ćwiczenia fizyczne, co to ruch, gimnastyka, sprawność ciała i mięśni.

Te wiedzą, że dreptanie przy kuchni, dźwiganie węgla i kartofli, to zupełnie co innego, niż ten ruch, przy którym się człowiek wyprostuje, przy którym krew lepiej krąży, przy którym człowiek cały się rozrusza, czuje się młodszy i żwawszy.

Te matki dały przykład. Inne z początku krępowały się, że skąd kobieta stateczna ma skakać jak koza. Powoli jednak przekonały się do ćwiczeń fizycznych, tak samo jak przekonały się do ćwiczeń wojskowych. Teraz już cała grupa pań chodzi również na strzelnicę, i podobno strzelają lepiej od mężczyzn.

Kobiecie, pracującej fizycznie, potrzebna jest gimnastyka, gdyż wprawia ona w ruch zupełnie inne mięśnie, niż te, które pracują przy pracy powszedniej. Człowiek się odpręży, odświeży, a potem inaczej jakoś patrzy na świat.

Matki, ćwiczące na sali szkolnej są rozpromienione, radosne. Niektóre są zupełnie młodziutkie, tych jeszcze ciężka praca nie zdążyła przygarbić, i teraz już nie przygarbi dzięki ćwiczeniom. Niektóre są już starsze, czasem i siwiejące. Trzymają się pochyło, ale powoli rozprostowują się, ruchy ich nabierają żywości i sprawności. Jedna z pań ma już podobno wnuka. Młodsze jej dzieci chodzą jeszcze do szkoły. Najstarsza córka zamężna dochowała się właśnie syna. Zresztą młoda babcia wcale na babcię nie wygląda i ćwiczy pierwszorzędnie.

Rozmawiam z tymi paniami, z ich komendantką. To również jedna z matek tej szkoły. Była na obozie. Mąż jej do niedawna, przez dwa lata był bez pracy. Teraz znalazł pracę dzięki rodzicom szkolnym, zgrupowanym przy Związku Rezerwistów. Mają troje dzieci.

Pytam, co mówią w domu, kiedy matka idzie na ćwiczenia, czy do strzelnicy. „Ano cóż? Obiad przygotuję w sobotę. Wydzielę każdemu porcję. Odgrzeją sobie i dobrze".

„A mój mały, ten najmłodszy, powiada, że teraz, to już nam żaden wróg nic nie zrobi, kiedy nasze mamusie staną do obrony kraju".

„A ja na to mówię mu, że niektórzy to się śmieją z nas, że ćwiczymy jak żołnierze, ale on powiada, że głupi chyba się śmieje, i że on jest dumny z takiej mamusi, co zna się na broni. Jego koledzy również cieszą się, że ich matki też są gotowe bronić kraju i nie dać się wrogom".

Tak, ma rację ten chłopak i jego koledzy. Żeby w każdej szkole choć dziesięć matek zaczęło ćwiczyć w przysposobieniu wojskowym kobiet, jakże podniosłoby się poczucie obywatelskie rodzin, jakże wzrosłaby wola obrony całego narodu. Bo przecież każda rodzina oddziaływa przykładem na krewnych, na sąsiadów. Przecież każda matka to serce i ośrodek rodziny, jej wpływ promieniuje na dalsze otoczenie, a przede wszystkim wzmaga w dzieciach czynną miłość Ojczyzny.

A wiemy przecież wszyscy, jaka jest waga woli obronnej narodu, i co się dzieje z narodami, którym jej zabraknie.

A przy tym, kobieta, która wie, że w potrzebie i jej ramię przyda się dla kraju, czuje się już nie tą nieraz poniewieraną niewolnicą domu i garnków, ale obywatelką wielkiego i silnego narodu. Dzieci takiej matki będą wiedziały, czego od nich oczekuje Polska.

Oby takich matek było jak najwięcej, jak Polska długa i szeroka.

J. B.

Jakie sposoby wychowawcze i środki karności stosują rodzice wobec swoich dzieci? [1]).

Jest to jedno z pytań zawartych w ankiecie do rodziców, rozesłanej w Woj. Śląskim przez Koło Absolwentów Instytutu Pedagogicznego w Katowicach.

Z odpowiedzi rodziców okazało się, że są domy, które w następujące sposoby oddziałują na dzieci.

— „Specjalnych metod nie mam. Usilnie staram się tylko przeciwdziałać złym instynktom, jakie każde dziecko ma w sobie. Nie znaczy to, że dzieci moje są idealnie dobre — przeciwnie — charaktery ich są zupełnie niepodobne jeden do drugiego i bardzo trudne do prowadzenia. Pracę moją da się porównać bez prze-

[1]) Teofil Łaciak. Karność w wychowaniu domowym. P. „Dom i Szkoła" Nr 1 — 2 r.b.

sady do drążenia twardej skały. Dlatego ważną w dziedzinie wychowania jest stanowczość i uparte dążenie do celu. Dziecko musi wiedzieć, że to, czego wymagamy od niego — wypełniamy sami, więc przykład własny i że każdy zły czyn ze strony dziecka, będzie przez nas jednakowo potraktowany bez względu na nasze chwilowe nastroje. Dziecko musi wiedzieć i czuć, że je kochamy, a jednocześnie być przekonane, że naszych zarządzeń obejść ani zignorować nie może bezkarnie. Musi się zatem z jednakową energią dopilnować naszych poleceń, zarówno wobec młodszych jak i starszych dzieci, bez względu na ich wiek. Im dziecko starsze, tym wymagania nasze muszą być ściślej egzekwowane." (Biuralista).

— „Przekonałem się, że krzyki, bicie — nic absolutnie nie pomogą. Dziecko staje się nerwowe, wylękłe, pracuje ze strachem, a nie z przekonania. Trzeba zatem pomóc, pochwalić, zachęcić do pracy, a broń Boże — ciągle karcić" (Kier. Pol. Śledczej).

— „Dbam o to przede wszystkim, aby dzieci były chętne i posłuszne i dały uszanowanie w pierwszym rzędzie matce i ojcu, a poza domem każdej starszej osobie. Zaś w szkole, aby poważały i słuchały swych przełożonych." (Palacz).

Rodzice wychowujący w ten sposób dzieci rozwijają w nich i dodatnio urabiają charakter, współpracują najistotniej ze szkołą, gdyż z dzieckiem, do którego w domu jest taki stosunek i nauczyciel nie będzie miał kłopotu. Nie wszędzie jednak, a nawet można powiedzieć, że niewiele jest rodzin, w których rodzice odnoszą się do dzieci, jak czytamy powyżej. Bywa i gorzej. Oto kilka innych odpowiedzi.

— „Żona stosuje chłostę, ja przemawiam do ambicji i rozumu, tłumaczę i perswaduję". (Górnik).

— „Dzieci moje usłuchają na słowo, a jeżeli się które zapomni, to dam naganę lub upomnienie, a drugi lub trzeci raz karzę chłostą". (Robotnik).

— „Dzieci najwięcej posłuchają, jeżeli im się coś obieca. Posłuchają równo jak chłopcy, tak i dziewczęta. A jak nie posłuchają po dobroci, to jak krzyknę ostro, to nie wiedzą, gdzie skoczyć mają. Przeważnie grożę i obiecuję, że dostaną pasem. A raz w miesiącu się zdarzy, że uderzę raz lub dwa i to wystarczy". (Robotnik).

Inni rodzice w ten sposób określają swój system wychowania.

— „Jako środka wychowawczego używam bata, który składa się z 6-ciu rzemieni". „Karzę ich głosem, albo kijem". „Krzykiem i biciem wychowuję". „Batem o czterech rzemieniach (wychowuję)". „Jak nieposłuszne, to kij".

Takich rodzin niestety jest dużo. Rodzice karmią, odziewają i ostatecznie posyłają dziecko do szkoły (często dlatego, aby nie płacić kary pieniężnej), ale właściwie dziecka nie wychowują. Dziecko w tych domach ma mniej lub więcej zapewnioną opiekę fizyczną jak zwierzę domowe ,,chowa się je, ale nie wychowuje". A przecież, gdyby ci rodzice, którzy dla własnych dzieci mają przygotowany w razie nieposłuszeństwa bat z rzemieniami, pozwolili sobie na większą łagodność czy pobłażanie, przemówili do dzieci po ludzku, nie jak do psa czy bydlęcia, może wtedy dzieci ze zdumieniem i radością spostrzegłyby i zrozumiały, że ich rodzice mają ciepłe, kochające serca mimo twardych pięści i szorstkiego głosu. A tak ten głos zawsze gotowy grozić i karcić, te ręce zawsze skore chwycić za bat jako ostatnią formę załatwienia „porachunków", stwarzają atmosferę strachu i upokorzenia ze strony dziecka, a rodziców zmuszają do skrywania prawdziwych uczuć rodzicielskich. W tych warunkach dom rodzinny nie jest prawdziwym domem dla dziecka. Jest mu tam źle i obco. Tam, gdzie mu powinno być najlepiej — żyje pod strachem bata czy wymyślań.

J.

Do świetlicy przy ul. Zagórnej w Warszawie.

Ze wzruszeniem przeczytałam w Nr. 3 artykuł o „Świetlicy dla rodziców".

Tak wiele na świecie nienawiści, sobkowstwa, niezaradności, głupoty, obojętności na cudzą niedolę. Nic więc dziwnego, że opis prac świetlicowych daje dużo do myślenia.

Chciałoby się poznać tę świetlicę bliżej, pójść tam, popatrzeć, posłuchać, uradować serce. Czy można?

Jak mógłby tam trafić przybysz z prowincji?

Czy można by mieć częściej wiadomości stamtąd w naszym czasopiśmie?

Może świetlica prowadzi jakieś protokuły czy kronikę swych prac — prosimy chociażby o urywki od czasu do czasu.

Niech owa „inicjatywa jednego człowieka, poparta współpracą gromady" zyska jak najwięcej naśladowców, a tymczasem przesyłamy im wiele myśli serdecznych. — *G. R.*

OBRAZKI.

Mała Andzia jest wątłego zdrowia, nie ma apetytu, a przy tym jak przysłowiowa „jedynaczka" jest kapryśna, robi grymasy przy jedzeniu. Rodzice nie mogą jej zrozumieć, bo żeby to nie chciała jeść szpinaku, sałaty, jak to często dzieci, a które to potrawy lekarka poleciła jej koniecznie dawać, ale ona nie chce nawet mięsa i przy tym najwięcej grymasi, że nie wiadomo już co z nią robić.

Ponieważ Andzia jest wątła i rodzice ciągle boją się, żeby się nie zaziębiła, więc na dzień, w którym akurat odnawiało się mieszkanie, posłali Andzię do sąsiadki. Wróciła zachwycona, w doskonałym humorze. Wieczorem, jak to zwykle po takiej wizycie, matka pyta małą, jak tam było, co robiła, co jadła. Ku jej zdumieniu Andzia najwięcej była zadowolona z obiadu, bo zakończyła tryumfalnie: „...mięsko było świetne, takie już raz pogryzione"! Gdy zdumiona matka zapytała sąsiadkę, co to była za tajemnicza potrawa, okazało się, że po prostu... pieczeń siekana...

*

Od pioruna zapalił się dom w miasteczku, ogień szerzy się coraz groźniej, na niebie wspaniała łuna. Czteroletni Geniuś stoi na krzesełku przy oknie i patrząc na szalejący żywioł ze zdumieniem i zachwytem mówi szczerze: „póki żyję — takiego pożaru nie widziałem...".

*

Mireczka jest śliczną dziewczynką, wszyscy goście czują się w obowiązku rozmawiać z małą, okazują jej wielkie zainteresowanie i sympatię. A jak ty się nazywasz? A ile ty masz latek? Mała po raz setny odpowiada cierpliwie na te same pytania i wzbudza zachwyt, że jest taka inteligentna i grzeczna. Wreszcie jakaś starsza już panna pyta: „a powiedz mi, Mireczko, ile ja mam lat"?

Mireczka zafrasowała się trochę i po chwili z zawstydzoną minką odpowiada: „pseprasam, ale ja umiem licyć tylko do dziewięćdziesięciu dziewięciu...".

Czytelnicy i redakcja.

Panu J. S. Życzenie Państwa, aby artykuły w naszym piśmie były drukowane niezbyt drobnym drukiem ze względu na słabe oświetlenie lampami naftowymi na wsi, jest zupełnie słuszne i postaramy się doń zastosować. To prawda, że kiedy praca wypełnia cały dzień, a czytać można dopiero wieczorem, to „drobniutkie literki bardzo utrudniają szczególnie głośne, wspólne czytanie".

Pani Marii Sob. Stara się Pani robić propagandę dla „Domu i Szkoły Powszechnej", numer przysłany do Pani przeczytało już sześć matek. Serdecznie dziękujemy za tak miłą współpracę, ale może by Pani ułatwić tę sprawę. Prosimy o przysłanie adresów znajomych rodziców, a wszystkim poślemy bezpłatne

okazowe numery. Chciałaby Pani sama pisać, ma Pani przy takiej gromadce dzieci na pewno już wiele doświadczenia, ale nie ma Pani odwagi a „wszystkie artykuły w piśmie wydają się Pani tak gładko i pięknie pisane”. Proszę uwierzyć, że m a j ą c o c z y m p i s a ć, formy można się nauczyć. Trochę wprawy, trochę przyzwyczajenia do porządkowania swoich myśli no i... trochę wiary i zaufania, a będzie artykulik dobry, zwłaszcza w druku wyjdzie lepiej, niż na karteluszku ręcznie pisany, to tak jak w ładnej, starannie włożonej sukience inaczej się wygląda niż w byle jakim ubraniu przy pracy.

Pani Helenie Jar. Przytacza Pani zdanie z Nr. 1 — 2 naszego pisma (artykuł „Nawet najlepsi rodzice miewają kłopoty z dziećmi”): „Wtedy, kiedy wszystko wydaje się proste — łatwo jest wychowywać... Kiedy ludzie więcej wiedzą, więcej też mają kłopotów”. Tego zdania są pani sąsiedzi. Jednak, czy taka dbałość o swój spokój nie jest zdradliwa. Życie idzie naprzód, dokoła nas wszystko się rozwija, przybywa wynalazków, przybywa sposobów do pokonywania trudności. My starzy — choćbyśmy nie wiem jak chcieli, nie potrafimy się zamknąć przed zmianami, jakie nam życie przynosi, a jeżeli idzie o nasze dzieci, to nawet nie mamy prawa zamykać przed nimi okna na świat, a jeżeli się uprzemy, to się ściany domu rozlecą, rodzina się rozbije, rodzice i dzieci stracą wspólny język i nie dogadają się już.

Pani Józefie Targ. Proszę Pani, recepty jak postępować z chłopcem 12 letnim, który się zaczyna wyłamywać spod Pani wpływu, dać nie możemy. Każde dziecko jest inne i każde wymaga innego oddziaływania wychowawczego, oczywiście w domu, bo w szkole nauczyciel nie może się stosować do każdego dziecka. Intuicja rodziców i miłość rodzicielska to dwa potężne czynniki w wychowaniu, ale w dzisiejszych czasach nie można się ograniczyć jedynie do tego. Trzeba czytać broszurki pedagogiczne, pisma o wychowaniu. Dziecko, proszę Pani, jest inne niż człowiek dorosły. Musimy starać się wiedzieć o nim jak najwięcej. A przy tym my znamy tylko n a s z e d z i e c k o, nie wiemy, jakie są inne dzieci w tym wieku, czy te wady np., które Pani spostrzega w swoim chłopcu (upór, nieposłuszeństwo, wymykanie się z domu) są właściwością i innych chłopców w tym wieku, czy też tylko Stasia. Bo są wady, które dziecko ma przelotnie, w związku ze zmianami i zaburzeniami, jakim podlega jego ciało i dusza, zanim rozwinie się człowiek dorosły, a w nim charakter i umysł; i do tych wad musimy się ustosunkować cierpliwie, rozumnie, ale bez niepokoju. I są wady dzieci, które są zarodkiem złego rozwijającego się już na całe życie i do nich rodzice muszą się ustosunkować bardzo poważnie, nie lekceważąc najmniejszych drobiazgów. Przykładem może być kłamstwo. Dziecko kłamie ze strachu, ze wstydu, bo chce upiększyć swoje życie, swoją rodzinę, chce zaimponować kolegom (8 letni chłopczyk opowiada w szkole, że u nich w domu jest pianino na srebrnych nogach — w rzeczywistości pianina wcale nie ma; 9 letnia córka praczki mówi, że jej matka jest profesorem uniwersytetu) — i „z tego wyrośnie” gdy nabierze rozumu i zorientuje się przede wszystkim, że w to nikt nie wierzy. Ale może być kłamstwo w celach zysku, oszukaństwa interesownego, w którym tai się przyszły nieuczciwy człowiek. I wtedy to nie żarty — trzeba z wielkim przejęciem się, bardzo rozumnie, z bardzo głęboką troską czuwać nad dzieckiem, aby nie pozwolić rozwinąć się kiełkującemu złu. Dobrze jest wtedy nie pogardzić „książkowymi” wiadomościami, bo choć matka wie najlepiej „czego dziecku potrzeba” bardzo jest ważne, aby te wiadomości rozszerzyła sobie w miarę swoich możliwości. Proszę, jednak być dobrej myśli Pani chłopiec, sądząc ze słów Pani „przestał być grzeczny” właśnie dlatego, że jest u progu nowej fazy w swoim rozwoju fizycznym i psychicznym. Na ten temat zamieścimy artykuł w jednym z następnych numerów.

Zakł. Graf. „Drukprasa" Sp. z o. o. N.-Świat 54, tel. 615-56

POLACY!

Żyjemy w czasach niezwykłych, w których tylko siła daje Wolność, a zbrojne pogotowie i nieustająca czujność — zabezpieczają spokojną pracę narodów.

Naród Polski, zjednoczony wokół swej Armii i Naczelnego Wodza, w spokoju i z godnością oczekuje wszystkiego, cokolwiek może Go spotkać na drodze Jego rozwoju. Jesteśmy gotowi bronić kart naszej historii ostrzem bagnetów, hukiem dział i warkotem stalowych ptaków.

W obliczu rozgrywających się obecnie zdarzeń musimy — według słów Naczelnego Wodza, — pracować „chociażby w krzyżach trzeszczało“ i „o sile nie zapomnieć“.

Musimy być silni i potężni, aby utrzymać poszanowanie naszych praw u wrogów i miłość u przyjaciół.

Musimy być uzbrojeni, aby móc jak najdłużej w spokoju pracować.

Musimy być w każdej chwili gotowi do spełnienia najwznioślejszego obowiązku — obrony Ojczyzny.

Polacy! Rząd Rzeczypospolitej postanowił rozpisać Wewnętrzną Pożyczkę Państwową, przeznaczoną na rozbudowę naszych sił powietrznych i wzmocnienie artylerii przeciwlotniczej.

Pamiętajcie, iż każdy nowy samolot, każde nowe działo przeciwlotnicze, to zwiększona gwarancja pokoju dla Polski, a pracy i dobrobytu dla jej obywateli. Niechaj całą Polskę okryją skrzydła samolotów, niech Ją ochraniają liczne baterie przeciwlotnicze.

Niechaj rozlegnie się wielki głos wszystkich, żyjących w świecie Polaków:

„Dozbroimy Polskę w powietrzu!“

„Nabywajmy Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej!“

Warszawa, 1 kwietnia 1939 r.

Ogólnopolski Komitet
Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej